

Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (47)

(fragmenty)



### Niedziela

W stolicy Krety, Iraklionie, spacerując po nadbrzeżach weneckiego portu, zauważam młodą kobietę fotografującą jeden szczegół... liny. Przede wszystkim rzuca się w oczy, że nie frapuje jej to, co interesuje wszystkich turystów z aparatami na szyi... czyli stare mury i baszty twierdzy weneckiej.

Staram się odtworzyć jej tok myślenia artystycznego, bo niewątpliwie musi to być osoba obdarzona nietypową wrażliwością. Zauważająca to, czego inni nie widzą. Pochyliła się i fotografuje uparcie liny i powrozy, do których przycumowane są statki, jachty i łodzie... Wydaje mi się, że wiem, o czym myśli ta nieznana Francuzka czy Hiszpanka, robiąc zbliżenia lin. Myśli metaforą. Wyobrażam sobie, że w linach poszukuje symbolu przywiązania, odpowiedzialności, a może siły takich węzłów i więzów, jak przyjaźń, miłość, małżeństwo – w relatywnym świecie wartości, gdzie pośród współczesnych nomadów stałość stała się zasadą problematyczną, podobnie jak tradycyjna moralność, konserwatywne poglądy etc. Dziewczyna fotografująca liny wydaje mi się inna od banalnego tłumu turystów zainteresowanych tylko tym, co im wskaże palec przewodnika... Przez chwilę odczuwam z nią – jako poeta – wyobrażone pokrewieństwo duszy, choć ona o tym nie wie.

### Wtorek

Na Krecie kończę czytać „Good night Dżerzi” Janusza Głowackiego. Bohaterem ciekawej, napisanej wartko w formie nieomal gotowego scenariusza filmowego powieści-psychodramy jest Jerzy Kosiński. W tle oczywiście znajduje się Janusz Głowacki. W ogóle książka opowiada o ludziach udreńczonych, zaszczutych przez własną wolność i relatywizm w dżungli stolicy świata. Przez wolność i relatywizm – dodajmy – artyści całkowicie wyzwolonego, eksperymentującego na samym sobie i bliźnich. Praw-

podobnie Głowacki pragnął stworzyć galerię postaci podobnych do tych z powieści Dostojewskiego, autora „biednych ludzi”. Biedni, choć niekiedy o zasobnych kontaktach ludzie, udrenczeni przez obsesje, kompleksy z dzieciństwa, zachcianki, żądze; zapędzeni do piekła, które dawniej też istniało w człowieku, ale było zaspuntowane przez normy mieszczańskie i religijne. A teraz jest na wierzchu. W artystycznym Nowym Jorku zostało wypuszczone jak dżin z butelki, ponieważ jest to miasto, gdzie ludzie pragną osiągnąć sukces za wszelką cenę, sukces promieniujący na cały artystyczny świat. Za cenę tego sukcesu są w stanie sprzedać dusze współczesnemu diabłu, któremu pomagają salony, telewizje, gazety, milionogębna plotka. Kosiński osiągnął wystrzałowy sukces, ale nie stworzył arcydzieła, bo arcydzieła tworzy się w samotności, często na tak zwanej ludzkiej prowincji, ślęcząc jak mnich nad przepisywaniem jednej grubej księgi, gdy Nowy Jork to miasto czynu, aktywności, dynamiki, wyzwoleń, bankietów, fet, burdeli, pressingu mody, skandali, prowokacji i nadaje się najmniej na miejsce odosobnienia pisarskiego. Kosiński Głowackiego przypomina niekiedy Nerona, jest właściwie postacią odpychającą, trudno wykrzesać dla niego współczucie. Pamiętam go z Teatru Stu w Krakowie jako porywającego showmana, do tego był stworzony, nie do siedzenia nad książkami. „Malowany ptak” wydał mi się książką sztuczną, swoistym horrorem, inne – też mnie nie przekonały.

Głowacki, opisując człowieka, który zaszedł w sobie tak daleko, że nie było już dla niego odwrotu – nie potrafił z niego jednak – albo nie chciał – wydobyć ludzkich cech, jakie wydobywa ze swych udreńczonych bohaterów Dostojewski. Jest to chyba też swoisty rozrachunek ucznia z Mistrzem.

Jeśli Głowacki napisał tę książkę dla swojej kobiety życia, pięknej Rosjanki, żeby przekonać ją – jak pisze w dedykacji – że nie jest cynikiem, to chyba jednak nie udało mu się tego do końca osiągnąć...

### Sobota

Cisza... Ścieżka pnie się w tej rozgorączkowanej ciszy ku obłokowi wiszącemu nad wzgórzem. Słychać tylko dzwonki u szyi baranów pasących się na makiach pomiędzy skałami starszymi od nich o miliony lat.

Słychać tylko przelot wielkich owadów, może trzmieli, sam nie wiem.

Słychać tylko zapachy rumianków, mięty, tymianku, szalwii, ostów, tamaryszków, dzikich oleandrów, żółtych kwiatków-dzbanuszków i wielu ziół o nieznanym mi nazwach.

Cisza. Dzwonki potracające delikatnie ciszę. Białe domki zawieszane na półkach skalnych z kobietami w czarnych sukniach siedzącymi na stopniach schodów.

Cisza. Daleko jest wzgórze z białym kościółkiem jak szpicą – koroną, do którego jutro pewnie dojdę...

### Jaśnie oświecona głowa

Właścicielem niebrywałej, bo globoidalnej,

choć podwawelskiej głowy, w zasadzie nieznannej (bo to nie telewizyjna gadająca głowa) jest Ireneusz Kania, o którym zaprzyjaźniona Wisława Szymborska zwykła żartobliwie mawiać: „Ten, który wszystko wie”.

Ten-Który-Wszystko-Wie, gdy mu to wypominam, uśmiecha się i rozkłada ręce. Po pierwsze dlatego, że okres młodościowego samoupajania się możliwościami erudycji ma już za sobą, po wtóre – jest świadom prowizoryczności swej wiedzy, „pełnej luk i dziur” jak i prowizoryczności w ogóle wszelkiej wiedzy, która nawet na milimetr nie przybliżyła do Tajemnicy Bytu i Transcendencji... Gdyby miał zdecydować się na określenie swej najgłębszej tożsamości, wybrałby – jak twierdzi – *vita contemplativa*. A tak w ogóle to Irek, tłumacz ponad 90 książek z szesnastu języków (i to nie tylko nowożytnych), wie, znając tyle języków, że każdy z nich jest w jakimś sensie niedołyżny wobec tajemnicy ludzkiego przeżycia; zbliża się zaledwie do tego, co rozgrywa się w wielowymiarowej ludzkiej duszy, a co my, twórcy, staramy się wyrazić językiem sztuki, w odróżnieniu choćby od mistyków, którym wystarcza sama kontemplacja...

Poza sporadycznym pisaniem esejów – nie tworzy oryginalnej literatury („Widocznie nie mam nic naprawdę ważnego i głęboko osobistego do powiedzenia, a bycie jednym z wielu pisarzy mnie nie interesuje”). Wprzął się za to w służbę przyswajania polszczyźnie światowych arcydzieł piśmiennictwa. Uprawia rzemiosło tłumacza w sposób – jak żartuje – „interesowny”. „Interesowny” nie dlatego, że zabiega o wysokie honoraria. Wręcz odwrotnie – względy zarobkowe u tego klerka-anachorety o minimalnych potrzebach życiowych nie wchodzi w grę, a zapłata bywa symboliczna w stosunku do niewspółmiernego wysiłku kogoś, kogo podniecają najtrudniejsze wyzwania translatorskie... „Interesowny”, bo nieodmiennie dba o poszerzenie własnej duchowości. Zawsze chciał „więcej wiedzy i rozumieć” i to był najważniejszy klucz dla wybieranych do przekładu książek – od kabały i pism buddyjskich począwszy, przez starogrecką biografię Apoloniusza z Tyany, „Tybetańską Księgę Umarłych”... po średniowiecze, „Luzytan” Camóesa, dzienniki Eliadego, pisma Giorana, dzieła religioznawców czy myślicieli nowożytnych. Tłumacz siedzi aktualnie nad „Historią pojęcia umysłu od Homera do współczesności” i nad tekstami starobuddyjskimi „Sutta-nipata” bo lubi operować jednocześnie w kilku językach i kulturach. Każda z kultur otwiera inne okno na rzeczy pozornie dobrze znane – świat.

Czasem chodzi o fascynację autorem, innym razem kusi uroda języka oryginału (sanskryt, hebrajski, tybetański), na którym mógł sprawdzać stopień swego wtajemniczenia, jeszcze innym razem – pracę translatorską motywuje głębokie zainteresowanie tematem (tak było z buddyzmem i kabałą – jest w Polsce jednym z wybitniejszych ich znawców)... Niekiedy zaś chodzi o ducha danej, budzącej jego zainteresowanie, epoki czy o różne odczytywanie sensu istnienia w różnych religiach...

cdn.